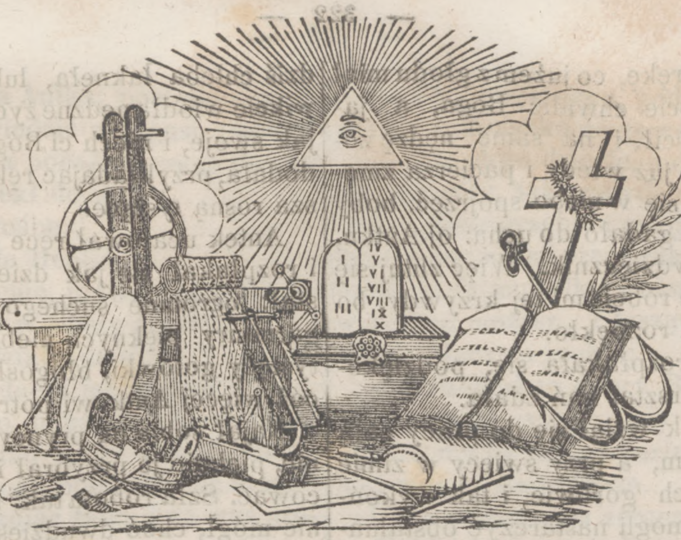
ROK TRZECI.

№ 41.

Warszawa
Dnia 29 września
(10 października)

1858.

Niedziela
20ta po Świątkach.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnej
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rss. 2 rocznie, a z kopertami rsr 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wszystko, coś nam uczynił Panie, sprawiedliwym sądem uczyniłeś, bośmy zgrzeszyli przeciwko Tobie, aniśmy strzegli przykazań Twoich; lecz daj chwałę Imieniowi Twemu i uczyń z nami według mnóstwa miłosierdzia Twego. (Kollekta na niedzielę 20tą po Świątkach).

Wiejski kominek.

Słońce zachodzi już za górami,
Już i na polu skończona praca,
Powraca oracz z swemi radłami,
Z bydełkiem pasterz także powraca.

Już i mrok zapadł nad wiejską chatką,
Na *Anioł-pański* dzwon się odzywa,
Gospodarz w domu z swoją czeladką
Po pracy dziennej wczasu używa.

Tu na kominie ogień się żarzy,
Dziatwa spożywa skromną wieczerzę,
Ojciec o dawnych dziejach im gwarzy,
A potem z niemi mówi pacierze.

Wnet po pacierzach kmiotek ubogi
Z dziatwą się udał na twarde łoże,
Anioł im przyniósł z nieba sen błogi,
Bo nad prostaczkiem jest oko Boże!..

Dwie drogi.

(Dokończenie— Patrz nr. 40 Czytelni).

Po roku wyzwolin Antka umarł majster z wielkim żalem poczciwego chłopca, który płacząc serdecznie, wyheblował mu trumnę. Pani majstrowa rozpaczała po mężu, bo żyli z sobą uczciwie bez swarów i kłótni.

— O Boże, Boże, mówiła po pogrzebie do Antka, i cóż ja teraz pocznę?— ot z torbą po żebraninie pójdę. Tysiąc złotych mam tylko gotówki, jak tu żyć i wychować syna?—warsztatu już nie utrzymam, bo gdzie to tam o tem kobiecie samej myśleć.

— Pani majstrowa, rzekł Antoni, całując ją w rękę, nie martwcie się tak; ja wam będę wiernie i uczciwie pracował i na was i na waszego syna, tak mi Boże we wszystkiem dopomóż, że wam prawdę mówię.

— O mój Antku, rzekła rozczulona majstrowa, toć ty masz iść na swój chleb.

— Pójdę, ale wtenczas, jak wy mnie już potrzebować nie będziecie, i powiecie: idź sobie już Antku, boś mi się naprzykrzył.

Podaliście wy mnie rękę, co jużem z głodu miał umierać, nauczyliście chwalić Boga, a jabym was tak opuścił, i na samę nędzę zostawił? — a toćbym już wtedy i pacierza zmówić nie śmiał, i bał się w niebo spojrzeć, boby mi tam zawsze coś gadało do ucha: oj Antku, Antku, jakiś ty niewdzięcznik. Więc zlituj się pani majstrowa, nie róbcie mi tej krzywdy, bo by mi serce od żalu rozpękło.

Pani majstrowa rozpłakała się, podziękowała Antkowi i warsztat nań zdała.

Poczciwy chłopak wziął się do pracy całą duszą; o świcie latem, a przy świecy w zimie pracował po nocach gorliwie, i tak wykończał robotę, iż nie mogli nastarczyć obstalunków, choć dużo czeladzi pracowało w warsztacie, a sława wyrobów stolarskich pani Heblińskiej rosła po świecie.

Po dziesięciu latach gorliwej pracy Antka, pani Heblińska za piętnaście tysięcy złotych kupiła sobie kamieniczkę, w której mieszkała, a co więcej, miała już gotówki na procencie trzydzieści tysięcy. Poczciwa majstrowa obliczywszy tak raz swój majątek, za wspólną naradą z dorosłym już synem, zawoławszy Antka, rzekła doń:

— Słuchajno poczciwy chłopcze, zrobiłeś mnie panią, mam oto z twojej łaski czterdzieści pięć tysięcy majątku, który pot twojej sumiennej pracy oblewa.

— Oj pani majstrowa, chyba to tam sam Bóg wam dokładał, bo ja tak dużo zapracować nie mógłem.

— Nie, mój Antku, mówiła dalej majstrowa, Bóg tam nie dołożył, ale pobłogosławił twej uczciwej pracy, którąś przedsięwziął dla wdowy i sieroty; ten Bóg, co nigdy nie pozostawia bez nagrody dobrego uczynku, chce ciebie przez ręce moje nagrodzić. Oto Antku w warsztacie, w którym pracowałeś dla biednej wdowy, pracuj teraz dla siebie, daruję ci go ze wszystkiemi zapasami, i oto masz na pierwszą zapomogę pięć tysięcy złotych.

— O Boże mój, zawołał Antek z zadziwieniem, pani majstrowa, co robicie? dodał, wstrzymując ją za rękę, którą chciała położyć przed Antkiem wymienioną summę; ja nie mogę tego przyjąć, bo to z waszą krzywdą być musi.

— Nie, nie, mój chłopcze, mówiła rozrzewniona majstrowa, żeby nie ty, możebym ja dziś chleba łaknęła, lub gdzie na szpitalnym wikcie wiodła nędzne życie. Bierz zatem, bierz jak swoje, i niech ci Bóg błogosławi, niech, tu dodała, przykładając rękę do pieniędzy, z grosza rosną tysiące.

Antek ucałował ręce poczciwej majstrowej i rozpłakał się jak dziecko. Ot i panem został: ogromne suchego drzewa zapasy, trzy garnitury pięknych mebli na sprzedaż, pięć tysięcy gotówki, błogosławieństwo wdowie, i cóż więcej Antkowi potrzeba było?

Najął sobie na pryncypalnej ulicy mieszkanie, pięknie je przybrał i zaczął na siebie pracować. Szła robota tak, że już jej przyjmować nie mógł, choć dwudziestu czeladzi pracowało w Antkowym warsztacie.

Gdy się tak urządził i szło mu dobrze, nieraz myślał: mój Boże, ja tu we wszystko opływam, a tam Grześ może gdzie w biedzie o głodzie! Oj gdyby przyszedł jakim cudem, zaraz podzieliłbym się z nim mojem mieniem. Nareszcie zaczął Antek myśleć o żonie, bo mu już prawie trzydziestka dobiegała. Nie wezmę bogatej, mówił do siebie, oto uszczęśliwię jaką biedną sierotę, co może łaknie chleba, jak ja łaknąłem, wszedłszy do tego miasta.

Pół roku upłynęło od tego postanowienia, a jeszcze Antek żony nie znalazł, gdy raz w niedzielę przechodząc około szpitala Siostr miłosierdzia na spacer, usłyszał okropny płacz, i spostrzegł, że wyprowadzano jakieś zeń ciało, a młoda dziewczyna ubogo bardzo ubrana, idąc za trumną, zawodziła płaczem, co chwila wołając:

— O Boże mój, Boże, cóż ja teraz pocznę bez ciebie mateńko, ja biedna sierota, oj zagrzebcie mnie z nią, zagrzebcie, bo już ja żyć nie chcę.

I biedna dziewczyna tak płakała, tak łamała ręce, że wszyscy przytomni płakali z nią razem.

Młoda dziewczyna tak serdecznie żałująca ubogiej matki, zwróciła uwagę Antka; mniej więcej dowiedział się na pogrzebie, że to była córka majstra szewckiego, który jak wielu na nieszczęście cały majątek, dom nawet porządny na jednej z ulic przepił, a chorowitą żonę i córkę zostawił bez kawałka chleba, że Jagusia córka, która grzebała matkę, przez pięć lat ciężką ją pracą utrzymywała. Nie-

trzeba było więcej dla Antka; postanowiwszy lepiej się jeszcze wywiedzić o Jagusi, poszedł do pani Heblińskiej, a pocałowawszy dawną majstrowę w rękę, rzekł do niej:

— Mam do was prośbę.

— A jaką? odrzekła Heblińska.

— Oto myślę się żenić, mówił dalej Antek.

— Przyśliście mnie w swaty prosić?

— Niby, odpowiedział Antek.

— A bogato? zagadnęła majstrowa.

— A co mi tam po bogatej, odpowiedział Antek, kiedyście mi dali spory kawał chleba w rękę, że nim i z ubogą podzielić się mogę i jeść go do syta, dziękując Bogu i za was prosząc.

— Bój się Boga, rzekła pani Heblińska, cóż na to ludzie powiedzą, że taki bogaty majster bierze obdartą wyrobnicę. Ot wczoraj właśnie prosił mnie jeden z bogatych majstrów, abym ich jedyną córkę bogaczkę z wami poswatała.

— Schowajcie, rzekł Antoni tę bogaczkę dla drugiego, bo ja grosza nie łaknę, a myślcie ot o Jagusi; podobała mi się, wiem-ci z pewnością, że dobrą żoną będzie, kiedy dobrą córką była.

— No, to cóż, chcecie? zapytała:

— Oto, abyście ją bliżej poznali, odpowiedział.

— Ja ją znam, mówiła Heblińska, jak sama siebie, mieszkała tu u mnie w piwnicy jakie pół roku.

— No, to cóż? pytał Antek z obawą patrząc w oczy pani majstrowej.

— Dobra dziewczyna, niema co mówić, odrzekła; dzień i noc pracowała na biedną kalekę matkę i nigdy jej marnego słowa nie powiedziała, wstawała o świcie do pracy, a kładła się po północku.

— No, to i dobrze, mówił Antek uradowany; otóż proszę, abyście ją zawoławszy do siebie, powiedzieli, że ją myślę wziąć za żonę i weźcie ją całkiem do siebie i oporządcie jak przynależy, ja dam na wszystko ile zechcecie, a później zaprowadzicie nas do kościoła i niech już z waszych rąk całkowite mam szczęście.

— I tak się stało—pani Heblińska posłała po Jagusię, która na oznajmioną jej nowinę, iż Antoni Gałązka najpierwszy i najbogatszy majster stolarski w Lublinie chce się z nią ożenić, rozpłakawszy się, rzekła:

— Pani majstrowa, godziż to się z biednej sieroty tak ciężko żartować?

— Ale moje dziecię, mówiła Heblińska, jak mi Bóg miły, tak prawdę mówię. Widział on ciebie, jakeś grzebała swoję matkę, wie, jakieś ją pielęgnowała i pracą rąk żywiła; otóż powiedział, że ty mu tylko wnieść w dom błogosławieństwo możesz. Słysząc to Jagusia, z rzewnym płaczem rzekła:

— I czemuż to dobry Bóg nie zesłał mi tego szczęścia wtedy, gdy żyła moja biedna matka, nie byłaby umarła w nędzy, płacząc nad mojem sieroctwem.

Ujęta poczciwem sercem młodej dziewczyny Heblińska pocieszała ją jak mogła, mówiąc:

— Tak to moje dziecię niezbadane są wyroki nieba i ich zgłębiać nędzny człek nie może. Któż wie, dlaczego Bóg nie dozwolił, by matka twoja choć umierającem okiem spojrzała na dziecka swego szczęście—ale musi to być dobrze. Przyszedł i Antek, gdy tak pani Heblińska pocieszała płaczącą Jagusię i powtórzył oświadczyny pierwej przez majstrowę zrobione.

— A jakże to będzie, rzekła doń rozrzewniona Jagusia, kiedy ja nie mam bogactw dla was, prostaczkam i uboga panie majstrze!

— Aleć ja mam, rzekł majster, to się podzielimy i będziemy służyć Bogu, jak będziemy mogli.

W dni kilka nie poznał Antek Jagusi, jak ją pani majstrowa skromnie ale gustownie przybrała, o mało mu serce nie wyskoczyło z radości, tak mu się Jagusia wydała piękną.

Zaraz po całem mieście gruchnęło, że Antoni bogacz bierze wyrobnicę, i pełno zazdrości było.

W trzy tygodnie ślub się odbył, na którym pani Heblińska matkę państwa młodych zastępowała, a gdy panna młoda do domu męża odchodziła, spotkała ją u drzwi z chlebem i z solą.

Jagusia gdy weszła do mieszkania męża, osłupiała z podziwu: i stanąwszy przy drzwiach, postąpić dalej nie śmiała. Trzy pokoje Antek przybrał popańsku i lustra i firanki i piękne krzesła zrobione jego ręką, wszystko tam było.

Jakie tylko można sobie wymarzyć szczęście, tak była szczęśliwą Jagusia z Antkiem.

— O mój Boże, mawiała nie raz do męża, czemuż to matula choć chwilkę na moje nie

popatrzała szczęście! I Antek nieraz zwracał się myślą ku Grzesiowi, a wystawiając go sobie w nędzy, bolał, że mu pomódz nie może.

W rok po ślubie Antka, żyd faktor przyszedł do niego z zapytaniem, czy nie ma pięknych mebli na sprzedaż, że je chce kupić jakiś bogaty pan, co sześć mil od Lublina nabył dobra.

Gdy powiedział, że je ma, po chwili stanął przed Antkiem pięknie i kosztownie przybrany mężczyzna z jakimś drugim panem. Spojrzał nań Antek i oniemiał; pamięć młodości w tym panu bogatym przedstawiła mu Grzesia: taż brodawka przy oku, taż szrama na czole pamiątka bezbożnej macochy—ale jakże tu się przyznać skromnemu stolarzowi do wielkiego pana? Zresztą możeż być pewnym, może się myli, może to kto podobny! I tak gdy się pasuje w duszy, usłyszał, jak przybyły do drugiego pana, z którym przyszedł, zaczął mówić po francusku. Nie, to nie Grześ, rzekł w sobie Antoni, skądżeby on się nauczył tego pańskiego języka?

Obywatel prędko skończył interes, mało się targował, pieniądze położył i odszedł jakiś pomieszany. Antek spytał żyda o obywatela, powiedział mu jakieś inne imię. Jednakże mili czytelnicy, był to Grześ naprawdę, i o nim powiedzieć wam tu słów kilka muszę.

Gdy na rozstajnych drogach niemiłosiernie porzucił brata i pobiegł w manowce, szedł dni trzy sam i doszedł do pięknej wsi, której dwór bielał wśród topoli na wzgórzu. W karczmie tamże dowiedział się, że w tym pięknym dworze potrzebują do usług małego chłopaka—śmiały Grześ udał się tam i przyjęty został do dwóch synków dziedzica. Niebawem poznano sprytnego Grzesia i zaczęto używać do różnych zleceń, a gdy okazał chęć do nauki, dobrzy panicze w przeciągu roku, w wolnych chwilach od nauk wyuczyli go dobrze czytać, pisać i rachować. Nie dość na tem Grześ przy francuzie, co był przy paniczach, nauczył się mówić nieźle pofrancusku. W lat kilka oddaliwszy się z lokajskiej służby, począł sługiwać po dworach to za pisarza, to ekonoma, nareszcie przyjął obowiązek rządcy u jakiejś starej i skąpej wdowy aż w Augustowskiem. Lis przebiegły, potrafił podchlebstwy, szczuciem na drugich pozyskać łaski swej pani, tak, że mu zwierzała najważniejsze interesa, nie taiła się przed nim z niczem, nawet wiadomo było Grzesiowi, gdzie wdowa chowa szkatułę z pieniędzmi, o której najbliżsi niewiedzieli. Szkatułę tę gdy wdowa zachorowała i umarła bez testamentu, Grześ ukryć zręcznie potrafił, tak, że się nie wydało, tem więcej, iż nikt ze spadkobierców o szkatule nie wiedział. Oddaliwszy się, wyjechał na drugi koniec królestwa, za wdowine pieniądze kupił sobie ładną wioseczkę ot w Lubelskiem, zmienił nazwisko i w tym właśnie czasie u Antka kupił meble do przybrania zagrabionego dziedzictwa. W lat trzy potem Antoni ujrzał Grzesia stojącego pod pręgierzem na jednej z ulic Lublina z tablicą na piersiach, na której był napis:

„*Grzegorz Gałązka za kradzież*“

O mało nie padł pod rusztowaniem biedak, a przyszedłszy do domu, jak się położył na gorączkę, to trzy tygodnie walczył ze śmiercią, oblany łzami poczciwej Jagusi, której starania i gorące modły wykupiły go od śmierci.

Tak to zły postępek, a tem więcej zbrodnia, czy kto widział, czy nie widział, jak je spełniamy, zawsze się wydać musi, bo już na to takie prawo Boże. Otóż i Grześ z kosztowności, jakie znalazł oprócz pieniędzy w szkatule wdowiej, sprzedał pierścień wielkiej wartości jubilerowi w Warszawie, który właśnie spadkobiercy wdowy starannie poszukiwali; jeden z jej krewnych poznał go u jubilera i jak zaczął dochodzić, tak doszedł kłębka po nitce, i Grześ ukarany został.

Tak to mili bracia, dwie przez życie prowadzą drogi, co łatwo widzicie z tego opowiadania: jedna prosta i szeroka, którą poszedł Antek, i to droga cnoty, z której nigdy nie zboczy sumienny podróżny i trzyma się jej do grobowej deski, by zboczywszy, nie wpaść w otchłań zguby; druga droga krzywa, którą Grześ wybrał się na światową pielgrzymkę. Tam to wędrowiec starłszy wstyd z czoła, oplugawiony błotem występku, kończy pielgrzymkę na rusztowaniu pod mieczem katowskim, lub pręgierzem. Chrześcianin też to prawdziwy przy każdej modlitwie powtarzać powinien: Boże! nie daj mi zboczyć z drogi prostej, bym niepokalany stanął przed Tobą!

Pokój z obrazkami.

(Patrz nr. 34 Czytelni)

—

W następną niedzielę pan Dąbrowa wcześnie przywołał Adasia i Józia, bo dla dnia niepogodnego nigdzie nie wychodził, wysłuchawszy rano mszy świętej w kościele XX. Pijarów. Stary Wojciech zapalił sobie fajkę, roztworzył drzwi nieco od przedpokoju i usiadł prawie na progu, aby mógł wszystko słyszeć i widzieć.

Pan Dąbrowa dnia tego pokazywał chłopcom różne wizerunki sławnych polaków, wreszcie wyjąwszy z szuflady jeden większy, rzekł do nich:

— Uchylcie chłopcy głowy przed wizerunkiem tego człowieka, bo wart on cześci i uszanowania naszego. To *Stanisław Staszic*.

— Czy to nie ten, przemówił Adaś nieśmiało, co ma grób taki skromny i nieznaczny na Bielanach przy kościele?

— Ten sam, moje dzieci.

— Słyszałem, odezwał się Józio, że to był bogaty pan; czemu nie leży on w kościele, i nie ma pięknego nagrobka, których tyle po kościołach naszych widzimy?

— Bo on, moje chłopcy, mówił pan Dąbrowa, żałował pieniędzy na marną okazałość, wolał je obrócić na coś lepszego. Trzeba wam poznać jego życie, to zrozumiecie, jak ludzie wielcy żyją skromnie i cicho nieraz, aż ich wielkość i sława po śmierci z latami wzrasta.

Stanisław Staszic urodził się w Wielkopolsce, w mieście *Piła* 1755 roku z niezamożnych rodziców. Ukończywszy szkoły, stosownie do ich woli poświęcił się stanowi duchownemu. Po otrzymaniu od ojca części majątku na niego przypadającej, udał się za granicę w celu wyższego ukształcenia naukowego. Po zwiedzeniu Niemiec przybył do Paryża, gdzie oddany z całym zapałem pracy, zapoznał się z najuczeńszymi wówczas mężami. Zwiedził następnie góry Alpy i Apeniny, w ostatku ojczyste Karpaty, poznał kraj własny dokładnie, to wdzierając się na szczyty gór, to spuszczając się w przepaście ziemi dla zbadania kopalni. Podróże te dały mu zasoby do napisania znakomitego dzieła: *O ziemiorodztwie gór*. Pełen nauki, z żywą checią gorliwego służenia ojczyznie, przybył do Warszawy jako stolicy, gdzie król Stanisław August słynął jako opiekun nauk i uczonych. Ale Staszic zawiódł się w swoich nadziejach; nie był szlachcicem, każdy więc dumny rodem swoim z oziębłością odpychał uczonego rodaka, dając mu poczuć, jaka różnica zachodzi pomiędzy herbowym szlachcicem, a synem mieszczanina. Nie otrzymawszy urzędu, o który się starał, zrażony młody Staszic w pierwszém na świat wystąpieniu, porzucił go z niechęcią, w skromném zaciszu oddając się badaniom naukowym.

W owe to czasy żył znakomity mąż rodem, znaczeniem i nauką, Andrzej Zamojski Kanclerz Wielki koronny, prawy a gorliwy obywatel. Ten poznawszy Staszica, powierzył mu wychowanie dwóch swoich synów. Nie zawiódł zaufania położonego, zajął się gorliwie powierzonym obowiązkiem. W domu Andrzeja Zamojskiego miał sposobność poznania życia publicznego i potrzeb kraju; napisał i wydał kilka pism bardzo znakomitych, które dały słuszny, bo zasłużony rozgłos jego imieniowi. Po zmianach krajowych za utworzeniem księztwa Warszawskiego, kiedy niepytano się o herb szlachecki, tylko o talent i zasługi, Staszic zasiadł w *Radzie Stanu*. Następnie za czasów królestwa polskiego szybko przechodził wyższe coraz stopnie; w chwili zgonu był Ministrem Stanu, Dyrektorem jeneralnym Dyrekcyi przemysłu i kunsztów w Ministeryum Spraw Wewnętrznych, a przytem Prezesem Towarzystwa Królewsko-Warszawskiego Przyjaciół nauk. Umarł Staszic dnia 21 stycznia 1826 w 71 roku życia. Byłem młodym wówczas i żywo pamiętam pogrzeb jego. Zwłoki jego w prostej drewnianej trumnie złożone w sieni gmachu Towarzystwa Przyjaciół nauk, który zbudował swoim kosztem, członkowie tegoż towarzystwa na swoich barkach wynieśli. A byli między nimi panowie starych herbowych rodów, dostojna szlachta; oni mieli przecie sobie za zaszczyt wielki nieść ciało zmarłego syna mieszczanina. To miasto, w którem jako młodzieniec odepchnięty został przez dumę rodową, teraz uczciło sędziwego starca, to miasto okryło się głęboką żałobą, a ludność jego bez różnicy stanu biegła oddać mu ostatnią cześć i posługę chrześciańską. Widziała Warszawa wiele wspaniałych i uroczystych pogrzebów, ale równie wielkiego w swojej prostocie

nie oglądała nigdy. Drogę do grobu na Bielanach, który sobie obrał za życia, bo tu w wolnych chwilach od pracy i zatrudnień urzędowych spoczywając pod ulubionym dębem, czytywał, drogę tę zapełniał tłum ludu w kilkadziesiąt tysięcy. Byli to obywatele miasta, urzędnicy wojskowi, wszystkie instytuta naukowe i szkoły, rzemieślnicy, których nieraz hojną wspierał ręką, prości wyrobnicy; wszyscy ze smutkiem na obliczach i serdecznym żalem w sercu. Trumnę przez miasto aż na miejsce ponieśli akademicy. Próżny karawan zwolna postępował, a dostojnym zwłokom towarzyszyły chóry kapłanów. Dzień był pogodny, śnieg biały pokrył ziemię, a lekki przymrozek orzeźwiał powietrze. Tu miał pamiętną mowę Fryderyk hrabia Skarbek, która wszystkich do głębi wzruszyła, nie jednę łzę wycisnęła, gdy przed oczyma każdego, w wymownym obrazie stanęła sędziwa postać Staszica, jego zasługi i żal ze straty jednego z największych obywateli, jakich kiedykolwiek Polska miała.

Skromny za życia w ubraniu, w wydatkach na utrzymanie swoje, zbierał grosz do grosza, ażeby spełnić to, co w testamencie swoim wyraził:

Żyłem skromnie, abym przez moję oszczędność mógł nieść pomoc zostającym w potrzebie: złotych polskich 200,000 przeznaczył Staszic na szpital Dzieciątka Jezus, drugie 200,000 złp. na założenie Domu zarobkowego; złp. 140,000 na wydział kliniki w Uniwersytecie Warszawskim i utrzymanie w niej kilku osób, pomieszanie zmysłów cierpiących; złp. 60,000 na utrzymanie czwartego profesora w szkole Hrubieszowskiéj w Hrubieszowie; 45,000 złp. poświęcił na Instytut Głuchoniemych w Warszawie. Dom dla Towarzystwa Warszawskiego swoim kosztem wystawił i zostawił fundusz na wzniesienie przed tym domem posągu Kopernika. Służących hojnie opatrzył, dobra swoje dziedziczne *Hrubieszów* w Lubelskiem położone, pomiędzy mieszkańców podzielił. Nie przestał na tem, że ich obdarzył majątkiem, jako swoich dziedziców, ale wyrobił dla nich przywilej monarchy i gminę całą wynoszącą około 4000 ludności, nakształt małej Rzeczypospolitej urządził. Cesarz i król polski Alexander I, zatwierdziwszy przedstawioną sobie ustawę przez Staszica dla dóbr Hrubieszowskich skreśloną, oddzielnym listem z dnia 13 (25) Czerwca 1822 roku podziękował mu za czyn tak szlachetny i tak piękne użycie swego majątku. Co zrobił Staszic dla kraju, dosyć powtórzyć słowa zacnej pamięci księdza Szwejkowskiego, z kazania na obchodzie pogrzebowym Staszica w r. 1826:

Towarzystwo Przyjaciół nauk uposażone, szkoły wojewódzkie, wydziałowe i elementarne w części urządzone, w części nowo powstałe, Uniwersytet Warszawski z słabych początków do stanu kwitnącego doprowadzony, szkoła politechniczna zawiązana, górnictwo wraz z szkołą górniczą, instytut głuchoniemych i agronomii, konserwatorium muzyczne, fabryki i rękodzielnie różnego rodzaju tak szczęśliwie powstałe, budownictwo dróg i mostów, szkoła inżynierów, słowem wszystkie zakłady nauk, umiejętności i przemysłu, jakiemi szczyci się nasz kraj od 1815 r., jego bliższemu przewodnictwu winne są, albo swój początek, albo wzrost i zakwitnienie.

Żył bardzo oszczędnie; lubiąc teatr, chodził na paradyz tylko. Młodzież szkolna i akademicy znała go dobrze, pomimo, że często dla niepoznania, wdziewał rudą perukę. Wybrane jego miejsce, jeżeli się spóźnił zatrzymywała dla niego. Staszic widząc to, z wdzięcznym uśmiechem kłaniał się i ściągał z głowy perukę.

Stary skromny koczyk i para starych koni, któremi powoził równie stary furman Antoni, znane były powszechnie w całej Warszawie. Zarzucony ogromem pracy, przyjeżdzał często do biura ministerium zmierzchem dla skończenia rozpoczętej sessyi. Zwykle kazał furmanowi do domu wracać, ale stary Antoni nie słuchał wcale pana i czekał przed pałacem. Zdarzyło się, że sessya przeciągnęła się do 10éj w nocy. Antoni nie mogąc się doczekać pana, zlazł z kozła i poszedł do szynku poblizkiego na szklankę piwa. Wraca wkrótce (jak utrzymywał), ależ jakie podziwienie, gdy nie znajduje ani koni, ani kocza. Przestraszony dopytuje woźnego, ten go objaśnia że pan minister przed chwilą odjechał. Stary co tchu spiesznie biegnie do domu i znajduje stojące konie spokojnie przed stajnią. Wyprzągł je, a ustawiwszy przy żłobie i zatoczywszy koczyk w swoje miejsce, idzie do Staszica z zapytaniem: A kto pana

do domu przywiózł? Któż inny, jeżeli nie ty, odpowiada mu pan równie zdziwiony jak furman. Wtedy wyjaśniło się, że konie przyuczone do jednej drogi i odgłosu zatrzaskiwanych drzwiczek od koczyka, bez przypadku Staszica do domu odwiozły, który nawet niedostrzegł braku starego Antoniego na koźle. Wypadek ten, sam on pod wielką tajemnicą opowiadał przyjaciołom swoim.

— Przypatrzcie się więc, kończąc swe opowiadanie, mówił pan Dąbrowa dobrze, moje chłopcy temu wizerunkowi Staszica, co wiernie przechował podobieństwo szlachetnego oblicza, wyryjcie go w swej pamięci, a za nastaniem wiosny, wybierzem sobie dzień świąteczny i razem pójdziemy na Bielany pomodlić się i westchnąć na grobie jego, aby Bóg dobry dał naszej ziemi więcej takich jak Staszic ludzi. Uwijemy razem wieńce z ziół polnych i dodamy gałązkę z dębu, co stoi dotąd, a pod którym za życia siadywał i odpoczywał po pracach tyle użytecznych dla kraju naszego.

Instynkt i zmyślność jaskółek.

Już podaliśmy naszym czytelnikom niektóre wiadomości o jaskółkach, tych towarzyszkach człowieka, teraz uzupełniamy podane opisy, przytoczeniem ciekawych szczegółów o ich wędrówkach i instynkcie.

W naszym kraju, już około 20 sierpnia gromadzą się młode rodziny jaskółek pod jednym wychowane dachem w stada do 60 sztuk wynoszące; już razem latają, razem nocują po trzcinach, na drzewach lub dachach. Po kilku dniach pożegnawszy się z każdym rodzinnym zakątkiem, zanuciwszy wspólny śpiew pożegnalny, zrywają się ze świtem i odlatują ku południowi. Ten pierwszy odlot jest mało ważny, bo jeszcze zostają jaskółki stare, tudzież młode z drugiego lęgu, i te ustawicznie przed nami bujają. Gdy czas jest piękny, jaskółki opóźniają swój odlot, i wtedy zbierają się wszystkie z jednej wsi na zbiorowe miejsca, obsiadają stare drzewa lub dachy i długo radzą nad mającą się przedsięwziąć podróżą; postępują znowu ku południowi i zatrzymują się na obfitych żerowiskach czasem kilka dni, i znowu dalej ciągną. Zdarzało się nieraz spostrzedz, że już niema jaskółek na początku września, i znowu wkrótce się zjawiły. Są to nie nasze ptaszyny, bo te już odleciały, te zaś, które widzimy, są to pielgrzymy z innych okolic, co dla odpoczynku i pożywienia chwilę się zatrzymują i odlatują. To znikanie i pojawienie się jaskółek często się zdarza widzieć tym, co mieszkają na gościńcu ich podróży, bo tamtędy większa część dążyć musi i w oznaczonych miejscach żerować i odpoczywać. U nas po dniu 26 września główny ciąg jaskółek skończony; widzieć się jeszcze dają spóźnione rodziny z drugiego gniazda, które się do lotu hartują, i pod przewodnictwem rodziców pędzą w nadziei, że gdzie nad brzegiem rzek i jezior, a w najgorszym razie nad morzem dogonią główną armię, która się zawsze w tych miejscach zatrzymuje, porządkuje, rozdziela na korpusy, i jak żaglowa flota czeka na wiatr pomyślny. Później jeszcze spostrzegamy pojedyńcze jaskółki; są to biedne ptaszyny, które najczęściej głodowa śmierć zamorzy, lub też zimno zmrozi. Niespokojne ich ruchy, niepewność kierunku, to oznaki rozpaczy za towarzyszkami, to żal za rodziną i przeczucie przedwczesnej śmierci.

Często przed czasem gromadzą się jaskołki, starsze przewodniczą w tych zebraniach, a szczebiotaniem swawolną młodzież do wędrówki zamawiają; ale ta widząc jeszcze latające owady, i czując dogrzewające słońce, nie słucha tej namowy. Przewodniki raz drugi się zrywają, lecą w oznaczoną stronę, oglądają się, ale drużyna się nie rusza—wracają więc i znowu napominają młode głośniejszem szczebiotaniem. Nareszcie młode słuchają rady starszych i ulatują przed grożącem niebezpieczeństwem; w istocie wkrótce zimna i długa słota nastaje. Gdy jaskółki smutne na mieszkaniach siadają, opuszczają skrzydełka, smutnym wzrokiem pociągają około siebie i nie świergocza, jest to nieomylna przepowiednia zimnej słoty; gdy szybko nad wodą lub ziemią latają, wtedy będzie deszcz. Krzyczą one wówczas przeraźliwie i zdają się do siebie mówić: spiesz się z jadłem siostro, bo gęste krople z nieba lot nasz wstrzymają, donoś dziatwie pożywienie, bo do domu uciekać wypadnie. Gdy pierwsze krople padać zaczynają, a łoskot piorunu słyszeć się daje, wszystkie

jaskółki w jednej chwili znikają z widnokręgu, jakby zdmuchnięte czarodziejską siłą.

Mimo instynktu, rozumnego i praktycznego doświadczenia jaskółek, niemałe klęski na nie spadają. W latach 1829, 1839, 1845, 1853 i 1855, krocie ich z głodu i zimna w śnieżnych wiosnach zginęło. W ostatnich wyżej wspomnionych latach spadały z powietrza głodem osłabione, zimnem przejęte, smutnie spoglądały na człowieka w ręku trzymane, i zdawały się do niego mówić: już dla nas niema ratunku, już się z życiem rozstać wypadnie. Niektóre zaniesione do kuchni, piekarni, stajen i owczarni przychodziły do siebie powoli, a zanuciwszy podziękowanie, dalej za muszkami się uganiały. Zaspokoiwszy głód, zaraz do okna biły, i błagającym piskiem prosiły o wypuszczenie, bo tu im za duszno, za ciasno, bo jaskółka w żadne karby ująć się nie da, stworzona do bujania w powietrzu.

W opisach podróżników, a szczególniej żeglarzy, znajdujemy, że między 5 a 20 października jaskółki przylatują do Senegalu, przylądka Dobrej Nadziei, wysp Kanaryjskich i t. d. Wczesny odlot jaskółek z naszych stron, dowodzi ich przezorności. Dążą one ku południowi, aby nad brzegami jezior i stawów, nad stadami owiec i bydła przy wiejskich zabudowaniach doczekać się przy obfitem żerowisku pomyślnego wiatru, a gdy ten wiać poczyna, zaraz w podróż ruszają. Gdyby się z odlotem spóźniły, musiałyby nieraz przebywać ocean z niepomyślnym wiatrem, a wtenczas narażoneby były na tysiączne niebezpieczeństwa. Lecą zawsze nad wyspami, na których odpoczywają; często zmęczone obsiadają maszty okrętów, a świergocząc, okazują radość, że się znowu w towarzystwie ludzi znajdują.

Doświadczenia okazały, że jaskółkę doprowadzić można do wysokiego stopnia oswojenia, byle tylko jej lotów nie hamować, tak dalece, że po odbytej wędrówce w sześć miesięcy powraca do dawnego mieszkania, poznaje swego dobroczyńcę, pozdrawia śpiewem i niemal codzień go wita w domu i na dworze.

Przytoczymy tu ciekawe zdarzenie, jakie miał z jaskółkami D. Thienemann uczony ornitolog (poświęcający się nauce o ptakach) mieszkający pod Droznem.

W połowie czerwca 1841 r. para jaskółek, *dymówek* szczęśliwie wywiodła pięcioro piskląt i wyprowadziła na świat; lecz chociaż to było w czerwcu, wilgotne zimno dokuczało wszystkim żyjątkom. Jaskółczęta posiadały szeregiem na gałęzi akacyi stojącej przed domem, i czekały na żer, który im rodzice przynieść mieli. Mijały godziny, a rodzice mimo wielkich wysileń nie mogli złowić owadów, które przed słotą się pochowały. Głód i zimno tak pisklętom dokuczały, że najmniejsze spadło nieżywe na ziemię, a pozostałe żałośnym piskiem wzywając pomocy, opuszczały skrzydełka i trzęsły się od zimna.

Litościwy Thienemann widząc to nieszczęście całej rodziny jaskółek, otwiera okno najbliższe siedzących biedaczek i puszcza im złowione w pokoju muchy; jaskółki chciwie chwytają ulatujące owady, a uczony badacz ze swemi dziećmi łapał muchy w swem mieszkaniu i poddawał je jaskółkom. Ptaszyny poznały to dobrodziejstwo, odwróciły się wszystkie chciwie, patrząc w okno, a skoro się tylko ręka w niem pokazała, trzepotały radośnie skrzydełkami, a rodzice okrążając to miejsce, wdzięcznie nucili, jak gdyby dobroczyńcy dziękowali, już nie myśląc o szukaniu żeru dla swych dzieci. Tym sposobem uratował cztery pozostałe ptaszyny, a gdy słonko zaświeciło, poleciały w świat młode z rodzicami.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zdania.

1. Kto Bogu całem sercem zaufał, nigdy zawiedzionym nie został.
2. Kto świadczy dla Boga, nie lęka się niewdzięczności.
3. Pan Bóg rozum daje, gdy karze.
4. Mądry zawsze się tem kontentuje i obejdzie, co mu Bóg dał.
5. Na pierwszych spraw potocznych progu, Ten zaczął dobrze, kto zaczął w Bogu.
6. Najmilsza Bogu muzyka, głosy poczciwych ludzi.
7. Pan Bóg, który prawdę lubi, złych karze i gubi.
8. Ręka Boża i w szczęściu i w złym razie prawego człowieka wspiera.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 22 wrześ. (4 paździer.) 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*